ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 42 17. X. 1936



FOT. J. MALARSKI

Zofja Lindorfówna czaruje wdziękiem i talentem w „Ćwiartce Papieru"



ŚWIAT
REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXI. Nr. 42
17. X. 1936

L. CHRZANOWSKI

SZYDŁO SOWIECKIE

Wojna domowa w Hiszpanji trwa.

Ujrzeliśmy w tych walkach nietylko okrucieństwo, nietylko grozę bratniej walki, nietylko zaciekłość niemal zwierzęcą, ujrzeliśmy jeszcze raz starą prawdę, iż wojna społeczna, wewnętrzna, to wojna najbardziej nieludzka; jeśli wogóle te dwa wyrazy: wojna i ludzki, mogą się pogodzić ze sobą!

Ale niezależnie od tej grozy wojna domowa w Hiszpanji odsłoniła dziś już dobitnie i jaskrawo jej międzynarodowy charakter i znaczenie. Bo dziś już widoczne jest, że czynnikiem, któremu wyjątkowo wprost zależy na zwycięstwie anarcho - komunistycznych żywiołów w Hiszpanji — są Sowiety.

Nie będziemy czynili im procesu o ideowe pokrewieństwo i sympatje dla rewolucjonistów hiszpańskich. To, co dziś bije w oczy — to podwójna gra Sowietów.

Notą swą utrzymaną w ostrym tonie i zapowiadającą ultymatywnie możliwość poniechania taktyki nie - interwencji Sowiety wykazały, jak bardzo im zależy na zwycięstwie rewolucjonistów hiszpańskich.

Sowieckie szydło wyszło w sposób niedwuznaczny i na stole dyplomatycznych obrad wcale boleśnie tego i owego ukłuło. Bo nota sowiecka o nieinterwencję, choć pozornie jest objawem neutralności, w istocie jest wzięciem rządu hiszpańskich rewolucjonistów pod oficjalną, międzynarodową opiekę Sowietów.

Na terenie dyplomatycznym, (skoro rządowi frontu ludowego we Francji czynniki umiarkowane francuskie i w porę poruszona opinja nie pozwoliły zbyt czynnie zdeklarować się na rzecz rządu madryckiego), Sowiety zjawiły się jako obrońca rządu madryckiego. To wystąpienie na forum międzynarodowem oficjalnie przypieczętowało publiczną tajemnicę udziału sowieckiego w walkach hiszpańskich.

Na tem polega właśnie podwójna gra Sowietów, oskarżających przed komitetem nieinterwencji w Londynie Włochy, Niemcy i Portugalję o interwenjowanie na korzyść powstańców i armji narodowej gen. Franco, oraz grożenie, że o ile ta pomoc nie zostanie przerwana i potępiona, to one *zaczną pomagać* rządowi madryckiemu!

Sowiety więc grożą, że zaczną pomagać, wówczas gdy ta ich pomoc *oddawna jest uruchomiona!*

W swem ostrem wystąpieniu przeciw Sowietom w Londynie włoski ambasador Grandi — wyliczył szereg transportów broni wysłanych przez Sowiety, na statkach Newa i Kubań, oraz podał bardzo szczegółowo wykaz: ile karabinów maszynowych, ile naboi, rozebranych armat, samolotów i instruktorów sowieckich przyjechało już do Barcelony i Madrytu.

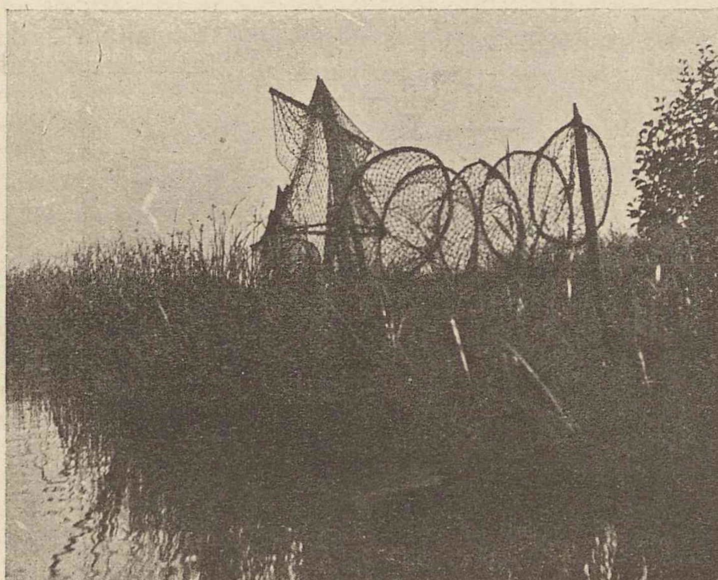
Uderzenie ambasadora Grandiego było bardzo mocne. Grandi jest dyplomatą doświadczonym. Był on ministrem spraw zagranicznych. Wielokrotnie brał udział w obradach genewskich. Nie rzuca on słów na wiatr. Nie używa argumentów i nie przytacza faktów, któreby łatwo można obalić. Ten spokojny, opanowany Włoch, jest wolny od afektacji i od unoszenia się — a tym razem mówił tak dobitnie, jak rzadko czynią to dyplomaci!

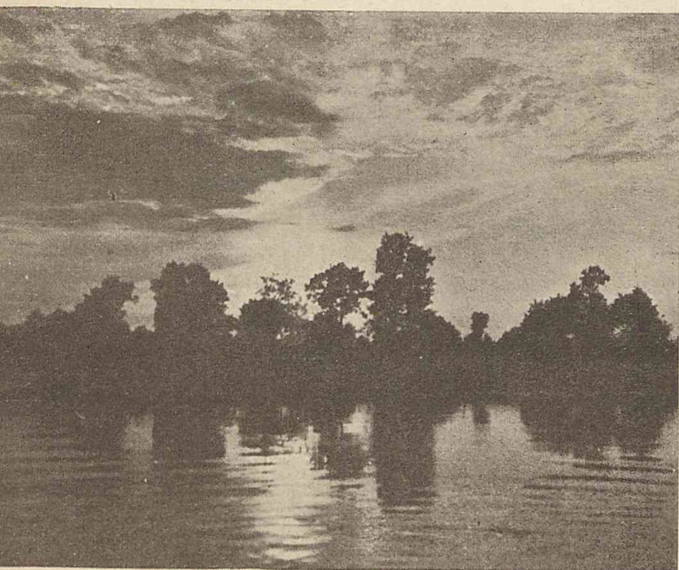
Zresztą obecność w Barcelonie bolszewickiego działacza Andrzeja Nina — od pierwszych dni walk i obecność Marcelego - Mojżesza Rosenberga — ambasadora sowieckiego w Madrycie od paru tygodni, wreszcie „dosłanie" nowego „asa czynu", b. ambasadora w Warszawie, Władimira Antonowa-Owsiejenki — świadczy najlepiej, że ci komunistyczni działacze nie dyplomatyczną reprezentację mają pełnić w Barcelonie i Madrycie!

Świadczy to wszystko nietylko o zainteresowaniu Sowietów Hiszpanją, świadczy to o „czynie" sowieckim, o działalności sowieckiej na półwyspie! Świadczy to również, że „baranek nieinterwencjonistyczny" dawno już chodzi w wilczej skórze.

POLSKA JESIEŃ







Wszystkie zdjęcia wyk. Grawiński.

Słynna z uroku „polska jesień“ w tym roku zawiodła trochę swoich wielbicieli. Czekaliśmy napróżno na słoneczne, ciche dni wrześniowe, a październik, zamiast niespodziewanej poprawy, przyniósł przedwczesne przymrozki. Pogoda, jak zwykle, najwięcej troski przysporzyła rolnikowi: roboty jesienne, najważniejsze bodaj w ciągu roku, odbywały się dlatego w niezwykłym pośpiechu.

Zdjęcia nasze odtwarzają krajobraz polski i roboty jesienne w polu. Pierwsze zdjęcie od góry — kopanie kartofli, robota ciężka, ale zawsze wykonywana z humorem i wesołością. Wszakże te skromne kartofle — to najważniejszy plon pól polskiego rolnika...

Poniżej — groźne i patetyczne niebo jesienne nad stawem. Zaraz nadejdą rybacy i zapuszczą sieci, które już czekają, przygotowane (zdjęcie na prawo). Poniżej — orka. Mozolna, cierpliwa, uparta, i jak niestety ciągle niewdzięczna, jeżeli obliczyć rentowność pracy w polu! Ale polski rolnik się nie zniechęca. On kocha ziemię...



POŁÓW PEREŁ



Leki — czy trucizna?

Znakomity znawca ziołolecznictwa, prof. Muszyński z Wilna, wygłosił w tych dniach w Krakowie odczyt, którego interesujące streszczenie podaje I.K.C. Prof. nietylko stwierdził racjonalność leczenia ziołami, ale wyraził też swój uzasadniony sceptycyzm w stosunku do wielu reklamowanych środków leczniczych aptecznych. I. K. C. zamieszcza takie słowa profesora: „*Wśród niektórych cennych leków syntetycznych istnieje morze lekarstw zupełnie bezwartościowych, a pozatem bardzo wiele leków wybitnie szkodliwych. Do takich trujących lekarstw syntetycznych należy ATOPHAN, polecany przez fabrykantów przeciwko cierpieniom stawowym. Różne preparaty „ulepszone“ jak LIPOPHAN, CIBOPHAN etc są równie szkodliwe jak Atophan i równie szybko jak on — bo w ciągu kilku dni — wywołać mogą katastrofalne zniszczenie wątroby*“.

Wierzymy profesorowi Muszyńskiemu, który jest znawcą i autorytetem w tej materji. Nie rozumiemy tylko jednego: jakim cudem w Polsce, odrutowanej tysiącami najmniej potrzebnych zakazów, istnieć może swoboda bezkarnego sprzedawania ludności *trucizn* zamiast *lekarstw*?

Czyżby masochizm?

Szyld rzeźnika w miasteczku powiatowem:

KTO RAZ SKOSZTOWAŁ MIĘSA FAJTŁAPSKIEGO,
NIGDY NIE ZECHCE JEŚĆ MIĘSA INNEGO!

A fe, panie F.

Może być, że to panu nawet sprawia jakąś perwersyjną przyjemność... Ale żeby tak zaraz otwarcie namawiać ludzi do ludożerstwa?

Co o tem myśleć?

Jak czytamy w „Expressie Porannym“ porucznik P. ożenił się za zezwoleniem swej władzy — to znaczy, że zgodnie z przepisami, żona, czy inna osoba z jej rodziny musiała dopłacać mu do utrzymania 190 złotych miesięcznie. Takie jest prawo — porucznik je zastosował.

Aliści porucznik żył z żoną — zaledwie kilka dni. Jasna rzecz, że ani żona, ani jej matka nie poczuwały się do wypłacania mu „alimentów“. Zdawało się jasne jak słońce, że „alimenty“ wypłaca się wojskowemu *żonatemu* na to, tylko, aby on nie potrzebował *utrzymywać żony*. (Jego pensja bowiem starcza tylko na jedną osobę). Żona więc z porucznikiem nie żyjąca, utrzymywała się z funduszów własnych — wobec czego porucznikowi owych 190 zl. nie zamierzała wcale wypłacać.

Jednakże mąż uważał sprawę inaczej — i wniósł do sądu sprawę o wypłacenie mu „należnych alimentów“ za wszystkie miesiące, kiedy z nim jego żona nie żyła...

Może — nie znamy się na tem — może taka sprawa nawet będzie „do wygrania“. Ale chyba *tylko w sądzie. Naprawno nie w opinii publicznej!* Bo ta opinia uważa przedstawicieli armji polskiej przedewszystkiem za dżentelmenów. Człowiek dążący do zdyskontowania finansowo coûte que coûte swej oficerskiej rangi, to nie jest w pojęciu społeczeństwa polskiego „właściwy człowiek na właściwem miejscu“. Przypuszczamy, że wszyscy nasi oficerowie są tego samego zdania.

Kary za gorliwość.

Ukazała się ciekawa broszura dra Aleksandra Szczepańskiego *„Rola wsi w przezwyciężaniu kryzysu gospodarczego w Polsce“*. Obok wielu słusznych dezyderatów i twierdzeń, czytamy między innemi zdanie, iż trzeba w Polsce przeprowadzić meljoracje, dążyć do zniknięcia nieużytków, zakwaszonych łąk etc.

Nic słuszniejszego, zdawałoby się. Każdy trzeźwy człowiek podpisze się pod takiem żądaniem obiema rękami. Ale...

Jest maleńkie ale. Oto ono — zaobserwowane „na gorąco“ — „w terenie“.

Pewien nie - obszarnik, „pan“ na dwudziestu paru hektarach, miał na tych swoich „włościach“ kilka hektarów nieużytków, bujnie zarosłych rdestem. Patologiczna namiętność do ziemi podszepnęła mu myśl szaleńczą: zmeljorować ten podmokły kawałek, ucieszyć potem oczy — bo przecież nie kieszeń — widokiem ziemi, której dano możność rodzenia. Więc się narwany człowiek zapożyczył, „szarpnął“ na wapno, przekopał racjonalnie rowy, podmokłą ziemię zwapnował, dał odpowiednie sztuczne nawozy, i tytułem próby, na małym kawałeczku posadził flance truskawek.

Nieszczęście chciało, że właśnie na wiosnę przybyła jakaś komisja do kwalifikacji gruntów. Brał w niej udział i przedstawiciel urzędu skarbowego, pojęcia nie mający o rolnictwie,

Komisja spojrzała na mapkę „włości“. Pan z urzędu aż skoczył: „Jakto, to na planie wypisano tutaj „nieużytki“ — a pan dobrodziej truskaweczki sobie tutaj sadzi? No to my to zaraz, paniedziejski, z piątej kategorji podatkowej przenosimy do pierwszej, ma się rozumieć... Ogród dochodowy, proszę panów czarnoziem, hodowla truskawek na wywóz, — to trzeba odpowiednio opodatkować“.

Fakt najściślej autentyczny.

„Dziedzic“ zzieleniał. Przemknęło mu przez myśl przysłowie: „Za twoje dobre myto jeszcze cię kijem obito“. I odrzekł się raz na zawsze wszelkiej meljoracji.

(P. S. Gwoli prawdzie dodamy, że jednak do tak oczywistej niesprawiedliwości nie doszło. Bo pozostali członkowie komisji — rolnicy, chłopi - sąsiedzi, jako ludzie *fachowi* przegłosowali pana urzędnika. „To nie jest żaden czarnoziem, tylko podmokły sap — orzekł przewodniczący. A te truskawki — toż oczywista próba, która może na całej linji zawieść“.)

Ale gdyby tak był zwyciężył tamten znawca pola zza zielonego biurka? *Uparty nurek.*

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"

SOWIECKA REWJA WOJSKOWA



Manewry wojenne armji okręgu moskiewskiego zakończone zostały wielką rewją wojsk zmotoryzowanych, która odbyła się w obecności marszałka armji Sowieckiej, Woroszyłowa. Powyżej — defilada tanków.

ŚMIERĆ MĘŻA STANU



Premjer węgierski, Goemboes, jeden z najwybitniejszych mężów stanu w swej ojczyźnie, zmarł w Neu Wittelsbach pod Monachjum, gdzie przebywał na kuracji.

PADEREWSKI W LONDYNIE



Mistrz Paderewski ukończył pracę dla filmu dźwiękowego w Londynie. Nagrał w nim szereg najpiękniejszych utworów fortepianowych z nieporównaną maestrją. Powyżej — odjazd Paderewskiego z Londynu do Morges w Szwajcarji, gdzie mistrz tonów spędzi kilka tygodni odpoczynku.

Z NOWEGO PAŁACU LIGI NARODÓW



Zdjęcie na lewo: fragment plafonu w Wielkiej Sali nowego pałacu Ligi Narodów w Genewie. Plafon malował znakomity artysta hiszpański, Sert. Temat plafonu: zjednoczenie ludów świata... O ironjo!

DOKOŁA NOWEJ POWIEŚCI HUXLEY'A

Nowa powieść tak modnego i u nas autora nazywa się *„Eyeless in Gaza"* i wywołała wiele niezwykle ciekawych i sprzecznych komentarzy i recenzyj w prasie angielskiej. Z tych dwa artykuły szczególnie warte są omówienia i stanowią prawdziwie rozrywkową lekturę dzięki żywemu stylowi i oryginalnemu ujęciu. (Oba są pisane ręką kobiecą). Są to: Phyllis Bentley *„Struktura Eyeless in Gaza"* w ostatnich numerze *„The London Mercury"* (wrzesień 1936) i *„Mr. Aldons Huxley"* pani Q. D. Leavis, żony F. R. Leavis'a, znanego krytyka literackiego, autora *„Nowych dążeń w poezji angielskiej"* i współredaktora kwartalnika *„Scrutiny"*. Artykuł pani Q. D. Leavis ukazał się na łamach tejże *„Scrutiny"*.

Ponieważ sama książka zapewne jeszcze nie dotarła do polskich czytelników, zacznę od podania jej treści. Jest to w tym wypadku sprawa mocno skomplikowana, ułatwiona jedynie dzięki pracowitości Phyllis Bentley. A nawet dla tych, co *„Eyeless in Gaza"* już przeczytali, streszczenie to jest niemal rewelacją!

Powieść przedstawia cztery okresy w życiu głównego bohatera, Antoniego Beavis'a. Okres I. 1902 — 1904 — Antoni Beavis jako dziesięcioletni chłopiec traci matkę. Na pogrzebie spotyka starszą od siebie o 9 lat Mary Amberley. W szkole obok Beavis'a — Brian Foxe, Mark Staithes, Hugh Ledwidge. Ojciec Antoniego żeni się poraz drugi, dzięki czemu chłopiec czuje się zwolniony z więzów rodzinnych. Jego przyjaciel, Brian Foxe, stracił ojca i jest oczkiem w głowie matki.

Okres II. 1912 — 1914. Przyjaciele są razem w Oxfordzie, gdzie spotykamy również Gerry Watchett'a. Antoni przez panią Foxe znów spotyka Mary Amberley, która zostaje jego kochanką. Pani Foxe, zazdrosna o syna, delikatnie odsuwa jego małżeństwo z Joan Thursley. Joan, spragniona miłości, wpada w ramiona Antoniego, zachęconego do tego w podły sposób przez Mary. Antoni ukrywa zdradę przed przyjacielem, a gdy Brian, dowiedziawszy się prawdy od narzeczonej, popełnia samobójstwo, Antoni usiłuje nadać temu samobójstwu wszelkie pozory wypadku.

Okres III. od r. 1926 do 30 sierpnia 1933. Antoni, który poklócił się z Mary Amberley z powodu historji z Joan, przyjmuje zaproszenie do niej w dwanaście lat po tamtych wypadkach. Tym razem wchodzą w grę córki Mary: Helena i Joyce. Hugh Ledwidge kocha się w Helenie wyidealizowanem uczuciem. Gerry Watchett zaleca się jednocześnie do matki i do córki. Helena w rozpaczy zwraca się do Ledwidge'a, który obawia się ściągnąć swe marzenia na ziemię, lecz mimo to żeni się z nią. Małżeństwo ich staje się tragiczną farsą. Helena zwraca się do Antoniego. Ale ten, jak zwykle, odrzuca miłość, szukając jedynie swobody i przyjemności. Helena, zniechęcona, opuszcza go.

Okres IV. od 31 sierpnia 1933 do r. 1935 przedstawia regenerację Antoniego Beavis'a przez dr. Millera, którego poznaje podczas rewolucyjnej wyprawy do Meksyku w towarzystwie Marka Staithes'a.

A teraz co z powyższą treścią zrobił Huxley. Oto najlepsza charakterystyka jego metody: „Gdzieś na dnie pamięci lunatyk potasował paczkę migawkowych zdjęć i rozłożył je jakkolwiek, raz jeszcze potasował i znowu rozłożył — i tak ponawiał swą czynność w nieskończoność. Nie było w tem żadnej chronologji..." Jednem słowem Antoni Beavis uważa swe wspomnienia za paczkę migawkowych zdjęć w rękach lunatyka; każdy rozdział jest datowanem zdjęciem — a wszystkie zdjęcia zostały dobrze potasowane.

Phyllis Bentley aby rozwiązać tak pogmatwaną budowę wzięła poprostu tyleż czystych kartek co rozdziałów; na każdej umieściła w lewym rogu datę rozdziału, w prawym jego kolejny numer, a pod spodem treść. A potem ułożyła wszystkie kartki w chronologicznym porządku, następnie zaś w porządku wyznaczonym im przez autora.

Wnioski Phyllis Bentley są następujące.

— Złe strony metody Huxley'a są oczywiste: katalog kartkowy nie powinien być konieczny do uczynienia zrozumiałem dzieła sztuki. Przytem metoda ta nie dopuszcza powolnego rozwoju osobowości bohatera w czasie.

A z drugiej strony — metoda pomieszania ilustruje sposób zachowywania się pamięci ludzkiej. Zarazem pomieszanie to przedstawia złożoną naturę jednoczesnych percepcyj umysłu. Pozatem metoda ta jest zobrazowaniem techniki asocjacjonizmu.

Zatem według Phyllis Bentley powieść *„Eyeless in Gaza"* straciłaby bezwzględnie na znaczeniu i na bogactwie, gdyby zmienić jej strukturę i przywrócić faktom ich porządek chronologiczny. Budowa ta nie jest bynajmniej „lunatycznem" pomieszaniem, ale celowym i pełnym znaczenia planem.

A teraz skonfrontujemy opinję Phyllis Bentley z tem, co pisze o Huxley'u pani Q. D. Leavis.

Krytyk Peter Quennell w książce, wydanej parę miesięcy temu, pisze: „Huxley, w najwyższym stopniu inteligentny, wydaje się cierpieć z powodu złożoności swego aparatu umysłowego.". Jego „inteligencja" jest popularnie uważana za tak wielką, że hamuje inne jego zdolności jako powieściopisarza, a w szczególności zdolność „odczuwania". Tymczasem zaś u innych mistrzów pióra, jak np. Sheakespeare lub Blake, najwyższy stopień inteligencji bynajmniej nie był wadą, czy przeszkodą, lecz przeciwnie, koniecznym warunkiem tworzenia ich nieśmiertelnych arcydzieł.

W *„Eyeless in Gaza"* znów czytamy o wrodzonym rozdziale namiętności od intelektu, który ma być wybitny mimo słabych zdolności odczuwania, co nam było już dane do zrozumienia w *„Point counter Point"*. Umysł Huxley'a pracuje podobnie, jak i jego bo-

haterów — „wiążąc razem w szybki, konwersacjonalny sposób wątpliwe uogólnienia na podstawie drukowanych wniosków innych osób". Przy bliższem badaniu cała jego wiedza okazuje się zdobyta bez trudu z tak niewyszukanych źródeł, jak encyklopedje, modne naukowe książki, popularne prace socjologiczne, psychologiczne, antropologiczne etc., przyczem Huxley nie czyni żadnej różnicy między rozmaitemi zapożyczonemi teorjami. Sam on stwierdza, że jest to rodzaj lenistwa i pobłażliwości dla samego siebie. Inteligencja Huxley'a zdaje się być jedynie kwestją dużej ilości czytania i robienia notatek, połączonego ze szczególnym „nosem" do wyławiania idei pozornie robiących wielkie wrażenie, i wrodzonem wyczuciem ducha czasu. „*Eyeless in Gaza*" jako powieść wg. Q. D. Leavis jest agonją powieściopisarza. Huxley jest nią do tego stopnia znudzony, że cała charakteryzacja i strzępy doświadczenia są po większej części powtórzeniem z istniejących powieści, jego własnych i innych autorów. Ta jałowość inwencji jest skutkiem szukania „surowego materjału" w książkach, a nie w życiu. Uciekanie się do książek Q. D. Leavis uważa za zasadniczy błąd Huxley'a. Ludzkością znudzony powieściopisarz sam musi stać się — nudnym.

Jedyny pocieszający znak widzi Q. D. Leavis w tem, że Huxley przedstawia swego bohatera odwracającego się od postawy pozornie naukowej pogardy dla bliźnich do „używania surowego materjału życia, myśli, wiedzy" w służbie ludzkości.

Niezdolności konsekwentnego przeprowadzania myśli, rozwiązywania błyskotliwych idei spowodowały, że Huxley wyraźnie nie lubi zajęcia żadnej zdecydowanej pozycji. A jego bohaterowie przeważnie przedstawiają pozycje, w jakich twórca ich chciałby się widzieć, bałby się widzieć, lub z jakich stara się wydostać.

Q. D. Leavis konkluduje, że Huxley nadaje się znacznie więcej na popularyzatora idei, aniżeli na powieściopisarza. Ale pozostaje jeszcze cała klasa czytelników, którą on sobie zdobył i tu jego powodzenie jest zapewnione, byle tylko dość szybko nadążał za „modą intelektualną".

L. Buyno

W LABORATORJUM ANATOLA FRANCE'A

W Paryżu, raz po raz odbywają się t. zw. „literackie licytacje" pośmiertne wielkich pisarzy i artystów. Burzą one szerokie zainteresowanie wśród społeczeństwa — ściągając do pracowni, czy „literackich laboratorjum" artystów, tłumy amatorów „autentyczności". Jeżeli nie są oni w stanie nabyć rękopisów, czy rozmaitych osobistych drobiazgów poety czy malarza — muszą się przypatrzeć przynajmniej, jak one wyglądają!

Do najciekawszych tego rodzaju licytacyj pośmiertnych należała bezwarunkowo wyprzedaż rękopisów i książek słynnego satyryka francuskiego, pisarza Anatola France'a.

Spadkobiercy tej spuścizny, odziedziczywszy ją po pani de Caillavet — nie uważali za stosowne zachować tych relikwij pisarskich, ani przekazać Bibljotece Narodowej. Urządzili licytację.

Wiadomem jest powszechnie, jaką rolę odegrała pani de Caillavet w życiu Anatola France'a. Była jego ukochaną, przyjacielem, Beatryczą, niańką i.., tyranem. Nieustannie zarzucała mu bowiem lenistwo, opieszałość, niedołęstwo, nieustannie napędzała go do pracy, chociaż pisarz francuski pracował od 8-miu do 10-ciu godzin dziennie.

Długoletni ten związek został nagle zerwany: France wyzwolił się z pod tyranji swej opiekunki i nawiązał ostentacyjnie stosunek z młodziutką aktoreczką! Wszystkie te perypetje życia prywatnego znakomitego starca w zabawny sposób opisał jego sekretarz Porousson w książce p. t. „Anatol France w pantoflach".

Obecnie, gdyby pani de Caillavet żyła, spożywałaby słodki owoc zemsty. Wszystkie bowiem pisma i rękopisy France'a dowodzą niezbicie, jak wiele zawdzięczał on swej mądrej przyjaciółce. Wszystkie lepsze książki pisarza — zostały napisane w okresie jego przyjaźni z panią de Caillavet i wogóle nie byłyby nigdy doprowadzone do artystycznej formy bez wpływu energicznej przyjaciółki — „leniwego artysty". Jej też zawdzięczać należy przechowanie wszystkich notatek i szkiców pisarza.

Zgromadzone rękopisy France'a pozwoliły publiczności wejrzeć zbliska w laboratorjum jego pracy twórczej. Cała przypadkowość pewnych momentów pisania, nagłe porywy natchnienia, które pisarz przygważdżał na kartkach i byle jakich ulotkach papieru znajdujących się pod ręką, wiele fragmentów tej lub innej powieści pisanych często bez związku z całością. Poza tem jednak we wszystkich rękopisach występują graficzne ślady uporczywej i sumiennej pracy.

Jednocześnie prawie ze sprzedażą książek i listów France'a odbyła się licytacja jego prywatnego mienia oraz nieprzeliczonych zabytków zgromadzonych przez niego, tak pieczołowicie w willi „Sand". W tym wypadku jednak licytacja przyniosła cały szereg niemiłych niespodzianek. Okazało się bowiem, że większość tych płócien „autentycznych", staroświeckich mebli, bronzów i marmurów — to falsyfikaty.

W ostatnich latach swego życia, Anatol France nie zajmował się prawie niczem innem — tylko nabywaniem i kolekcjonowaniem zabytków z... „pierwszej ręki". Przeszło to u niego w manję. Wiedzieli o tem dobrze liczni antykwarjusze paryscy i wschodni, nabierali sędziwego starca zwożąc mu do willi nieprzeliczone „białe kruki", za które płacił słono. Aczkolwiek przyjaciele jego domyślali się niejednokrotnie, że padał ofiarą oszustwa — sam pisarz nie pozwalał nikomu wtrącać się do tych spraw i mniemał do końca życia, że mieszka tylko wśród arcydzieł zwiezionych do niego z całego świata.

(p).

GUSTAW OLECHOWSKI

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Nowy radca poselstwa polskiego w Danji, Kazimierz Zim, przyjeżdża do Kopenhagi i nawiązuje znajomości ze sferami dyplomatycznemi. Na przyjęciu u posła francuskiego poznaje sekretarkę poselstwa Z. S. R. R., uroczą Ninę Fermor. Nazajutrz spotyka nową znajomą w Muzeum Narodowem, wychodzą razem i idą do parku.

Intymna rozmowa polskiego dyplomaty z rosyjską pięknością wprowadza zapowiedź jakiegoś romansu, a może... intrygi szpiegowskiej. Przypuszczenie to potwierdza późniejsza rozmowa Niny Fermor z posłem sowieckim, Awramem Wolfowiczem Konspirynem. Towarzysz minister zasięga u swej pięknej sekretarki informacyj, co do osoby nowego radcy polskiego poselstwa.

Zresztą rozmowa w gabinesie posła sowieckiego odsłania metody i szczegóły wielu poczynań i wywiadów dokonywanych za kulisami działalności dyplomatycznej.

Tymczasem w pałacu nuncjusza trwa żmudna praca przygotowywania materjałów do projektu encykliki papieskiej.

Rozmowa nuncjusza z charge d'affaires poselstwa Niderlandów, baronem Van Corneliusem toczy się dokoła nowej filozofji, wyznawanej przez przyjaciela barona, radcę Zima.

Po wyjściu Corneliusa nuncjusz sprawdził w swoich tajnych archiwach życiorysy i charakterystyki dwóch dyplomatów — barona i Zima.

Zamyślił się głęboko. Rzecz była zdumiewająca. Charakterystyki były pisane przez dwóch różnych legatów papieskich, z dwóch różnych, dalekich od siebie stolic, o dwóch ludziach pochodzących z różnych narodów, a tak dziwnie były do siebie podobne...

Każda z tych opinij wyrażała się o charakteryzowanym przez siebie dyplomacie, że posiada on w sobie olbrzymie możliwości.

Oczywiście słowa w jednym i drugim raporcie były zupełnie inne, ale sens obydwu był jednaki.

×

Nina siedziała sama w kawiarni hotelu *Palast*, popijając mokkę i paląc papierosa. Była zdenerwowana do ostateczności. Myślała, jak to dziś zrobić, żeby było inaczej, żeby uniknąć obserwacji. Poczeka jeszcze chwilę, aż zmierzch zapadnie. Chwyci moment przed zapaleniem latarń na ulicach. Trzeba zaraz zapłacić kelnerowi.

— Willy, Willy...

Czekał na nią.

Lubiła jego mieszkanie. Jakieś odurzające pomieszanie sprzecznych zupełnie wrażeń. Garsoniera człowieka lubiącego komfort, a jednocześnie niemal purytańska powaga samotnika, uczonego czy dziwaka. Atmosfera duchowa i zmysłowa razem. I to jakieś pomieszanie zapachów. Umiarkowane wspomnienie doskonałych cygar w świetnie wentylowanem mieszkaniu i zapach kwiatów. Zawsze snopy kwiatów, gdy ona przychodzi. Tyle razy!..

— Dwukrotnie już dawałam sobie słowo, że nigdy do pana nie przyjdę.

Zciągał boty z jej nóżek. Nie słuchał co mówi. Oszołomił go rozgrzany jej ciałem zapach perfum.

— Dlaczego pan nic nie mówi?

Zdejmował z niej futro, obejmując przy tej okazji jej postać drżącą.

— Ja nic nie mówię... Ależ ja ciągle gadam, raczej śpiewam — w duchu — hymn zachwytu!

Weszli do gabinetu.

— Taka jestem zdenerwowana...

— Czego?

— Nie wiem sama. Dzikie jest to życie. Jakieś takie nienormalne. Tam było lepiej.

— A to ładnie! Przecież mnie tam nie było! — Roześmiał się głośno.

— Właśnie. Pana tam nie było. Było spokojnie. Siedziałam sobie z *mamieńką*, chodziłam do biura, pracowałam i było dobrze.

— Jaka jest pani *mamieńka?*

Rzuciła rękawiczki na fortepian.

— Przyniosę kiedy jej fotogram. Jestem do niej podobna do absurdu.

— No to kochana *mamieńka...*

Rozcierała sobie ręce z zimna. Chwycił jej dłonie i trzymał w swoich, gorących.

— Tylko, że stary *régime*. Ani rusz — nie może nic zrozumieć, co się dzieje.

— A pani rozumie?

— Nie mówmy o polityce. Ja przychodzę do pana odpocząć.

— Biedna, kochana Nina! Czy tyle pani ma pracy?

Posadził ją delikatnym przymusem na kanapce.

— Ach nie, tylko to życie podwójne, potrójne, poczwórne, wielorakie, tak mnie męczy. Z posłem jedno, z panem drugie, z towarzystwem trzecie, z *mamieńką* czwarte, każde inne, ja oszaleję...

— Musimy to zmienić. Człowiek powinien przedewszystkiem dojść do szczerości z samym sobą, musi wyczuć kręgosłup, musi się zdobyć na odwagę cywilną, stokroć trudniejszą do osiągnięcia od odwagi żołnierskiej, która często pochodzi z nieświadomości. Cywilnie odważny człowiek musi jasno zdawać sobie sprawę z najniebezpieczniejszych konsekwencyj swego światopoglądu, a jednak walczyć pod swoim sztandarem.

— Może to jest mądre, co pan mówi, ale mnie to nie uspakaja. Pójdę do papużki.

— Papużka śpi i nie trzeba jej budzić.

— To niech pan drzwi zamknie, żeby się nie obudziła i niech mi pan coś zagra.

— Nic nowego nie gram.

— Proszę Rachmaninowa.

— Kiedy on nie jest uspakajający.

— Owszem. Niech pan gra jego *études-tableaux,* takie kojące.

Baron grał, ale odwrócony tyłem do Niny nie widział i nie słyszał, że hrabianka komunistka była bliska płaczu.

Naprzód grał sporo utworów z pamięci, potem sięgnął do zeszytów.

Już ją znał z tej strony i wiedział, że rozmowa się nie sklei, dopóki nie wprowadzi jej w stan spokoju. Raz musiał tak grać pół godziny, raz godzinę. Po Rachmaninowie przyszedł Skriabin, potem Szopen. Nie rozmawiali wcale. Cornelius grał. Grał wspaniale.

Nina płakała.

W pewnej chwili Willy wyczuł za sobą westchnienie, jakby dziecka, które chwyta oddech po płaczu.

Obejrzał się. Przerwał.

— Płacze pani?

— No więc co?

— Nic. To dobrze. Mam grać, czy mam przestać?

— Niech pan siądzie koło mnie. Już mi jest dobrze.

— Zrobić pani kawy, czy herbaty?

Uśmiechnęła się słodko:

— „Czajku, pożałujsta".

Wiedziała, że tyle już rozumiał.

— „Karaszo".

Na stoliku stał serwis srebrny do herbaty. Kociołek z kontaktem do prądu.

— Będę panią leczył na nerwy. Dwadzieścia pięć lat i już nerwy!..

— Dwadzieścia sześć...

— Wiem, ale chciałem być uprzejmy.

— A jak mnie pan będzie leczył?

— Podam się do dymisji, wykradnę panią, pojedziemy do Holandji, do domu mego ojca. Tam weźmiemy ślub...

— Niech pan nie mówi głupstw.

— Nie chce pani? To niech się pani leczy hydropatią.

— To już prędzej. Szalenie lubię pana mieszkanie. U nas takich niema.

— Sami je zniszczyliście.

— Ale za to niema u nas bezdomnych i bezrobotnych. Zresztą nie mówmy o polityce.

— Kiedy — widzi pani — wszystko jest polityką. Nawet miłość. Zna pani historię Romea i Julji? Obydwoje umarli, bo ich chciała rozdzielić polityka otoczenia, rodzin.

— U nas się mówi „naplewat" na takie otoczenie, rozumie pan?

— Nie bardzo.

— Wie pan, poco ja do pana przychodzę?

— Nie.

— I ja też nie wiem. Coś mnie tu ciągnie i —

Miała powiedzieć: — ktoś mnie pcha, ale powiedziała:

— Coś mnie pcha.

— To znaczy w naszym języku — miłość. A jak się to u was nazywa?

— U nas to się nazywa — „biestia, zwier". Niech pan nie głaszcze mojej ręki.

— Bo co?

— Bo mnie to drażni. Czyj to portret, tam, w rogu?

— To portret wielkiego filozofa. Jest pani śliczna.

— A dlaczego pan ma jego portret? I to pod Krucyfiksem.

— Bo to jest mój filozof. A wielki rozum dał mu Bóg.

— Wszyscy wasi filozofowie burżuazyjni nie warci jednego Lenina.

— Herbata gotowa. Oto jest filiżanka z Delftu.

— Jaka ładna!

— A ten czajnik srebrny, to po mojej babce...
— Śliczny.
— A herbata z naszych Indyj.
— Poco mi pan to powiedział? Nie będzie mi smakowała, bo już myślę o eksploatacji tuziemców przez białych burżujów.
— Zapewniam panią, że jest świetna.
— Dlaczego mnie pan nigdy nie pocałował?
— Bo za pierwszym pocałunkiem idzie zawsze drugi, potem trzeci i tak dalej i już nie można się ani zatrzymać, ani przerwać tego biegu na przełaj, aż naraz człowiek znajdzie się wobec nieuniknionych konsekwencyj, bardzo poważnych, które zmieniają zupełnie życie, a nie jestem pewny, czy pani chce zmienić życie.
— Boję się, bo nie wiem, czy nie zmieniłabym na gorsze, choć tak jak jest — jest okropnie.
— Co panią męczy?
Nina milczała. Myślała o towarzyszu pośle.
Spojrzała prosto w oczy barona. Poza uśmiechem radości był w nich spokój.
— Dlaczego pan ma w sobie taki spokój?
— Hm. Musiałbym długo pani tłumaczyć. Ale tak, popularnie mówiąc, spokój wewnętrzny przychodzi wówczas, gdy człowiek wszystko zrozumiał, siebie zupełnie opanował, gdy znalazł radość w czynach Dobra i Piękna...
— Banalne komunały.
— One są dla mnie bardzo głębokie i dają mi szczęście, a niebanalna komuna szczęścia pani nie dała.
— Myli się pan...
— Widzę rezultaty. Pani nerwy. Płacz bez powodu...
— Nic pan nie widzi. Ja mam duszę, która mnie boli i dlatego mam skłonność do płaczu.
Konspirin...
Trzeba coś zrobić...
— I pan tak całe życie będzie odrabiał kawałki dyplomatyczne? Przecież w waszym kraju nic się nie dzieje...
— Myli się pani. Wszędzie się coś dzieje, bo wszędzie są ludzie, którzy myślą.
— O swoim brzuchu. Ale gdzie zagadnienia wszechludzkie! Jak u nas! Myśmy się wyzwolili z egoizmu narodowego. My jesteśmy ideą międzynarodową, jedyny internacjonał pracy...
— Nieprawda. Są starsze i nowsze idee i kierunki międzynarodowe.
— Ciekawam?
— Międzynarodówką jest katolicyzm i masonerja i złoty cielec. A teraz rodzi się nowa międzynarodówka elity ludzkości, która zlikwiduje doktryny, stronnictwa, monarchje, anarchje, głupotę, nędzę, dyktatury.
— Nie słyszałam.
— Wkrótce pani usłyszy.
— Paneuropa?
— Nie ta, o której pani myśli.
— Pan jest mason.
— Nie mogę być masonem, bo jestem katolikiem.
— Przecież Holandja jest luterańska.
— Ja należę do mniejszości katolickiej.
Nina wstała, podeszła do okna w milczeniu. Raptem odwróciła się.
— Czy pan ma dobre informacje z Japonji?
— Oczywiście.
— Wie pan, jakie są ich zamiary względem waszych kolonij?
— Wiem, ale to plan zbyt daleki, by się nim przejmować.
— A może nie?
— Ja wiem napewno.
— To pan musi także wiedzieć, jakie są ich zamiary względem nas?
— Wszyscy wiedzą. Zabiorą wam Syberję do Bajkału. Kwestja dziesięciu lat.

(D. c. n.)

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

WYSTAWA DARÓW I NABYTKÓW MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

W Muzeum Narodowem w Warszawie otwarto w bież. tygodniu bardzo interesującą wystawę. Stanowi ona dowód żywotności tej instytucji i powinna przyciągnąć szerokie rzesze widzów, nieobojętnych na sprawy naszej kultury artystycznej. Po raz pierwszy bowiem władze naszego stołecznego muzeum pokazały publiczności dary i nabytki, które wzbogaciły zbiory w ciągu ostatnich dwuch lat. Ściśle od początku roku 1935 do października roku 1936.

Zanim omówimy najważniejsze eksponaty tej wystawy, parę słów poświęcić wypada samemu Muzeum Narodowemu i jego linii rozwojowej.

Wiemy wszyscy, jak powstawały najpoważniejsze muzea zagraniczne. Składały się na nie przedewszystkim bogate kolekcje rodów panujących—kolekcje uzupełniane całemi wiekami. Po tym dopiero przybywały do nich zbiory magnatów i zapisy miłośników sztuki. Nasze Muzeum Narodowe w Warszawie powstało zupełnie inaczej. Właściwie — powstało niemal z niczego. Kolekcje królewskie — za Stanisława Augusta bardzo umiejętnie i celowo uzupełniane—zostały rozproszone przez kataklizmy polityczne. To więc, co w innych krajach było rdzeniem każdego muzeum — u nas wcale nie istniało. Samo społeczeństwo odczuło tę lukę i w wieku XIX zaczęło powoli gromadzić dzieła sztuki, oddając je częściowo do zbiorów Szkoły Sztuk Pięknych. Parę poważniejszych zapisów w połowie wieku XIX rozwinęło te skromne zaczątki.

Jednak dopiero z chwilą odzyskania niepodległości Muzeum Narodowe stało się instytucją prawdziwie aktywną. Ostatnie zaś lata znamionują niewątpliwy jej rozkwit. Przyczynia się do tego będąca już na ukończeniu budowa własnego gmachu—a także wybitnie życzliwy stosunek władz miejskich stolicy do spraw Muzeum Narodowego.

Objawy tej życzliwości są wielorakie — a wyrażają się przede wszystkiem w dążeniu do wzbogacenia zbiorów. Jednym z najważniejszych poczynań w tym zakresie było nabycie przez stolicę cennej kolekcji Popławskiego, składającej się z przeszło stu obrazów niderlandzkich, włoskich, niemieckich i francuskich. Urządzona w kwietniu roku 1935 wystawa tej kolekcji była, jak pamiętamy, wielkim artystycznym ewenementem stolicy. Ale nie na tem kończy się pomnażanie stołecznych zbiorów muzealnych. Wystawa obecna, choć z braku miejsca fragmentaryczna, zdumiewa i zastanawia ilością i jakością nabytków i darów, które w tak krótkim czasie wzbogaciły kolekcje Muzeum Narodowego.

Widzimy z radością, że ofiarność społeczeństwa jest istotnie bardzo żywa. Obecny okres sprawozdawczy — (niepełne dwa lata) — rejestruje około 230 nazwisk hojnych ofiarodawców. Wśród nich zaś figurują dary wartości artystycznej i materjalnej wręcz niezwykłej.

Wielki filantrop zmarły w r. 1934, Jakub hr. Potocki, zapisał Muzeum Narodowemu wszystkie dzieła sztuki, które zdo-



Piotr Michałowski (1800 — 1855) „Amazonka" (olej.), Zakup do Muzeum Narodowego w r. 1936.



Jan Matejko (1838 — 1893) „Wit Stwosz ociemniały" (olej.)
(z zapisu Jakuba hr. Potockiego)



Marcin Zaleski (1796 — 1877) „Rozbiórka domów między Zamkiem a Katedrą w roku 1843" (olej.)
(Zakup. 1936).

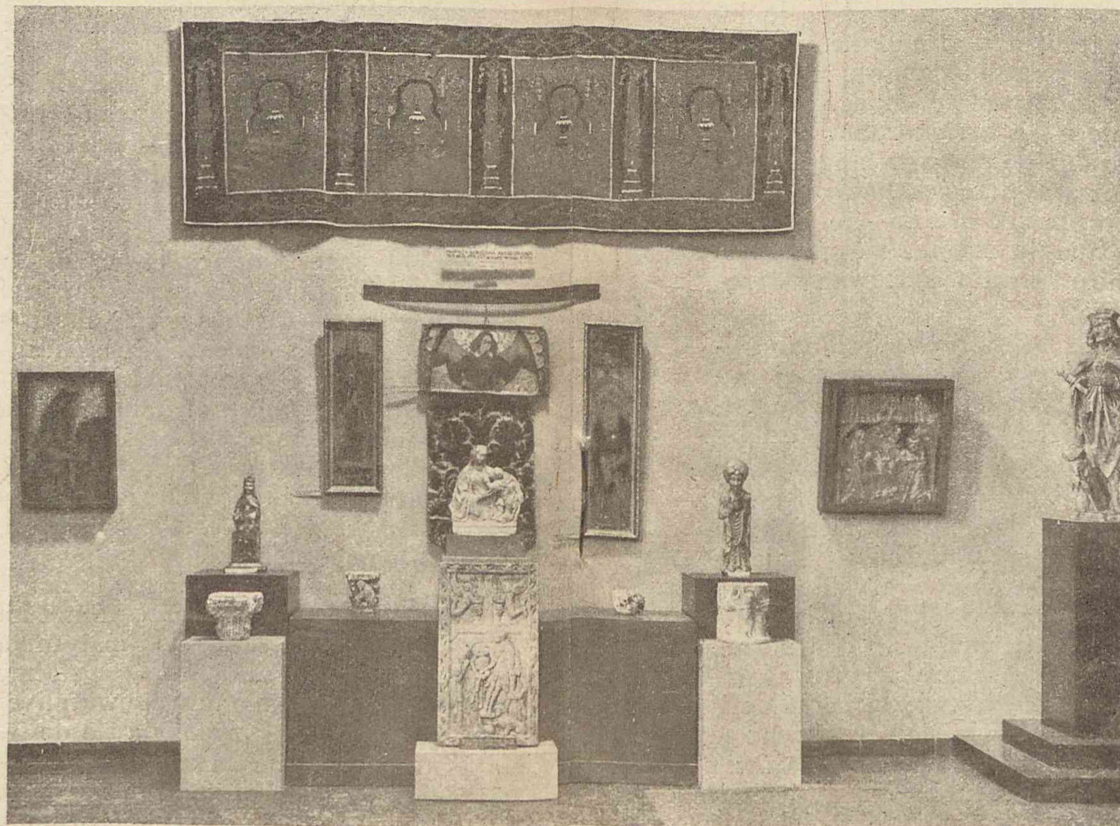
biły jego rezydencje w kraju i zagranicą.

Wymienimy na pierwszem miejscu dużych rozmiarów dzieło Matejki, przedstawiające Wita Stwosza ociemniałego, prowadzonego przez wnuczkę. Obraz ten odznacza się wspaniałym rysunkiem głowy Stwosza i wszystkiemi zaletami pędzla Matejki. Z dzieł innych artystów polskich ciekawy jest obraz Gryglewskiego, przedstawiający wnętrze pałacu w Podhorcach, Suchodolskiego „Pokaz konia", dzieła Brodowskiego i innych.

Zapis Jakuba Potockiego zawiera poza tym wiele obrazów starej szkoły, wreszcie kilka pięknych gobelinów francuskich i brukselskich składają się na całość wartości nieprzeciętnej. Wymienić tu jeszcze należy stylowe meble, przeważnie z końca wieku XVIII wykwintnie intarsjowane komody, śliczny sekretarzyk z laki, ceramikę japońską z wieku XVII i bogaty dział rycin. Jak widzimy zapis Jakuba Potockiego — to dar naprawdę magnacki.

Są jednak dary inne — również niezwykle cenne. Więc ofiarowany przez Marję Różę baronową Taube wielki gobelin francuski, z połowy wieku XVIII — wyjątkowej urody i wartości. Karton do tego wspaniałego dzieła wykonał znacznie wcześniej Franciszek Desportes, a realizacja jego w Manufacture Royale des Gobelins spoczywała w rękach mistrza le Blond'a. Gobelin ten, znakomicie zachowany, czaruje świeżością barw i świetnością techniki. (Ponieważ laicy niezawsze zdają sobie sprawę z wartości dzieł sztuki, wspomnimy tu nawiasem, że specjaliści określili wartość tego gobelinu na sumę około stu tysięcy złotych).

W dziale sztuki polskiej zanotować należy zapis Aliny i Jakuba Glassów, mianowicie 47 obrazów i 5 rzeźb. Dział polskiej sztuki współczesnej wzbogacił się tym zapisem znakomicie, zwłaszcza, że zbiory Aliny Glassowej odznaczały się wyjątkową wartością artystyczną. Mistrzowski jest portret ofiarodawczyni, malowany przez Konrada Krzyżanowskiego.



Dary Stanisława Neymana dla Muzeum Narodowego. W środku na dole — płaskorzeźba francuska z wieku XII, nad nią — „Madonna z Dzieciątkiem", rzeźba z w. XVI, po bokach — malowidła ołtarzowe hiszpańskie w. XV.



Gobelin francuski z w. XVIII wykonany przez le Blond'a w Manufacture Royale des Gobelins (Dar Marji Róży bar. Taube).

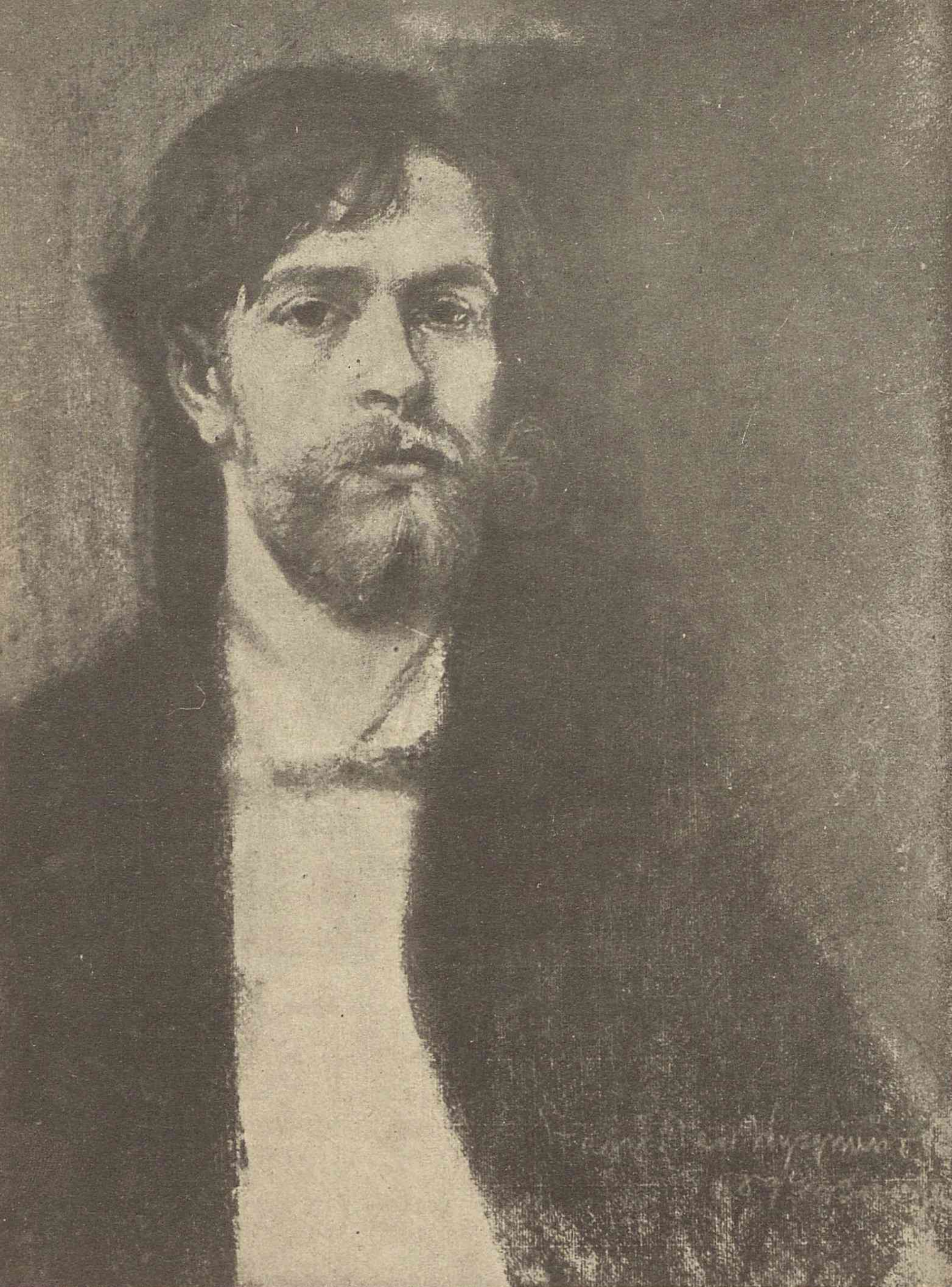
Dział sztuki polskiej zawdzięcza też wiele znanemu zbieraczowi Dominikowi Witke - Jeżewskiemu, który już od lat 20 zasila zbiory muzealne swemi hojnemi darami — obecnie zaś ofiarował kilkadziesiąt szkiców artystów polskich, oraz szereg sztambuchów i albumów.

Zofia i Eugeniusz Lewensternowie przekazali testamentem na rzecz Muzeum Narodowego całe swe zbiory malarstwa polskiego, wśród których znajduje się dzieło niezmiernie cenne: szkic do „Kazania Skargi" Matejki. Kilkadziesiąt obrazów najwybitniejszych malarzy polskich drugiej połowy wieku XIX i współczesnych uzupełnia tę kolekcję.

Rodziny artystów polskich też pospieszają z darami dla Muzeum Narodowego. Zamieszkały w Petersburgu i zmarły tam w r. 1913 artysta polski Ciągliński zapisał testamentem siedem obrazów i bezmała pięćset studjów.

Sukcesorowie innego artysty polskiego, Witolda Pruszkowskiego, przekazali obecnie do Muzeum kilka prac zmarłego przed 40 laty artysty.

Niezasobny dotychczas w stołecznem muzeum dział sztuki średniowiecznej systematycznie uzupełnia Stanisław Neyman, stale mieszkający w Genewie. Od kilku lat przesyła on jako dary swej zmarłej córki dla Muzeum Narodowego coraz trudniejsze do zdobycia rzadkie dzieła sztuki średniowiecznej, zbierane zagranicą ze znawstwem i zamiłowaniem. Ostatnio Muzeum otrzymało kilkadziesiąt dzieł sztuki, wśród których wyróżnia się swą stylizacją niezmiernie charakterystyczną płaskorzeźba, przedstawiająca „Zdjęcie z krzyża". Pochodzi ona z w. XII, z kościoła Saint Maximin en Provence. Jest to bardzo cenny — i bodaj że jedyny w Muzeum Narodowem — egzemplarz rzeźby południowo-francuskiej z epoki wczesnego średniowiecza. Bardzo pięknem dziełem jest Madonna z Dzieciątkiem, rzeźba niderlandzka z wieku XVI. Pozatem wśród darów Stanisława Neymana wymienić należy rzadkie renesansowe rzeźby w drzewie, francuskie i niemieckie, hiszpańskie malowidła ołtarzowe z wieku XV, oraz boga-



Stanisław Wyspiański (1869 — 1907) „Autoportret" r. 1894 (pastel). (Zakupiony z zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej w r. 1936).

tą kolekcję wycinków miniaturowych i iluminowanych inicjałów, od XIV do XVI wieku.

Jak widzimy — dary wielkiej wartości płyną obficie. I to nietylko z Polski. Ze Szwajcarji również przesłała pani Jeanne Block zbiór przedmiotów japońskich, dekorowanych emalią, oraz ceramiki japońskiej Satsuma.

Muzeum Narodowe nie ogranicza jednak swej działalności tylko do przyjmowania darów. W zrozumieniu konieczności planowego uzupełniania zbiorów — w miarę finansowych możliwości dokonywa się też zakupów.

Poza wymienioną już wielką kolekcją Popławskiego nabyto w ostatnich czasach szereg dzieł artystów polskich z końca wieku XVIII i pierwszej połowy wieku XIX: Bacciarellego, Topolskiego, Plerscha i innych. Do najważniejszych nabytków w dziale polskim zaliczyć trzeba „Amazonkę" Piotra Michałowskiego, jedyny obraz tego mistrza w posiadaniu Muzeum, oraz wspaniały autoportret Wyspiańskiego, jeden z najlepszych jakie namalował. Stało się doskonale, że dzieło tak cenne powiększyło zbiory muzeum stołecznego. Nabyto pozatem ogromny, bo złożony z przeszło czterech i pół tysiąca pozycji zbiór rysunków artystów polskich wieku XVIII i XIX. Są tam szkice Czechowicza, Jana Piotra Norblina, Orłowskiego, Płońskiego i 400 innych artystów polskich na przestrzeni półtora wieku. Zbiór ten stanowi niepospolitego znaczenia przyczynek do studjów nad sztuką polską.

Celowo i umiejętnie powiększa się też drogą zakupów dział dla stolicy bardzo ważny: mianowicie dział dawnej Warszawy w sztuce. Ostatnio nabyto ciekawe obrazy Aleksandra Lessera, przedstawiające widoki Placu Zamkowego i Nowego Miasta przed stu laty zgórą, oraz Marcina Zaleskiego „Rozbiórkę domów między Zamkiem a Katedrą". Obraz ten malowany w roku 1843, stanowi interesujący dokument epoki.

Z polskiej sztuki zdobniczej wymienić trzeba piękny wazon belwederski oraz cenny i nader rzadki serwis korecki, złożony z 10 filiżanek, cukiernicy i dwuch imbryków. Serwis ten ofiarowany był w roku 1812 przez armję polską wodzowi naczelnemu, księciu Józefowi Poniatowskiemu, w dniu jego imienin. Prześliczne suknie stylowe, wystawione w specjalnej witrynie, przyciągają zachwycone oczy kobiet. Jedna z tych szat — z końca wieku XVIII, jest z białego muślinu, z powłoczystym trenem, cała misternie haftowana w dębowe liście i żołędzie. Należała ongi do Barbary szambelanowej Bukatowej, żony posła polskiego w Londynie — i przekazana została jako dar do zbiorów muzealnych przez wnuczkę jej, panią Kopernicką. Druga szata — to empirowy tren do sukni, z zielonego aksamitu, bogato haftowany srebrem.

Z dzieł sztuki obcej nabyto kilka obrazów szkoły włoskiej, niderlandzkiej, cenny szklany puhar niemiecki, srebrne ozdoby do zastawy stołowej i wiele innych.

Zaledwie część wymienionych tu darów i nabytków znalazła miejsce na obecnej wystawie. Pomimo swego eklektyzmu jest ona bardzo interesująca. Nie można oczywiście scharakteryzować takiego pokazu zwięzłą jakąś definicją — składa się przecież na tę całość mnóstwo epok, krajów i rodzajów sztuki. Może jednak właśnie ta rozmaitość zaciekawić by powinna naszą publiczność, a przynajmniej tych wszystkich, którzy się sztuką choć trochę interesują.

ŚWIAT TEATRU

TEATR LETNI: „Ćwiartka Papieru“ — Komedja w 3-ch aktach W. Sardou. Reżyserował St. Daczyński.

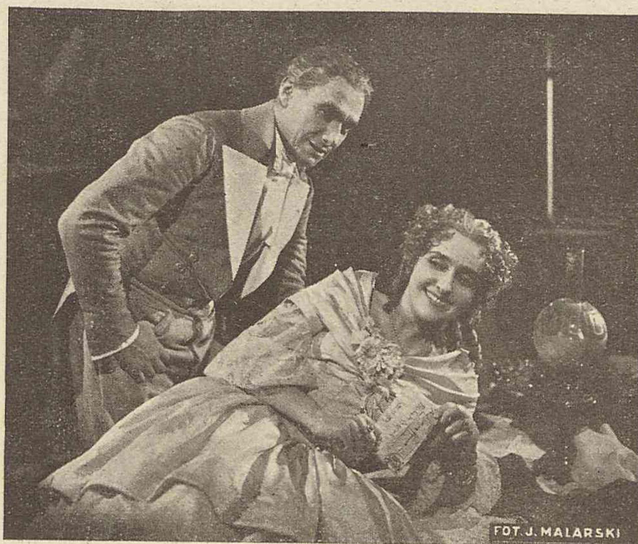
Stara prawda o listach miłosnych uporczywie przypomina o niebezpieczeństwie, jakie się w nich kryje. „Nic tak kobiety nie plami, jak atrament“ — woła przezorne powiedzonko - przysłowie, o którem nawet dzisiejsze pierwszoklasistki wiedzą. A jednak mimo to w iluż szufladach, schowkach, leżą mniej lub więcej poetycznie ukryte liściki z zaklętem westchnieniem, z nieśmiałem wyznaniem, z tętniącem, gorącem, płomiennem uczuciem!



Lindorfówna, Karczewski, Skonieczny, Grabowski

Młode i młodziutkie, dorosłe i przerosłe, panowie w białych getrach (getry jaśnieją wraz z wiekiem) i juhasy o pełnowartościowym abdomenie, wszyscy „lubią wspomnieć“. Więc choć sztuka pisania listów przestała być kunsztem i uwodzicielstwa instrumentem, choć telefon ułatwił przesyłanie westchnień, choć je również hałaśliwością zapowiedzi zbagatelizował — to jednak i dziś są niepoprawne, które „ćwiartka papieru“ może nie skompromitować, och, to już zamierzchła przeszłość — ale poprostu na... zmianę partnera narazić.

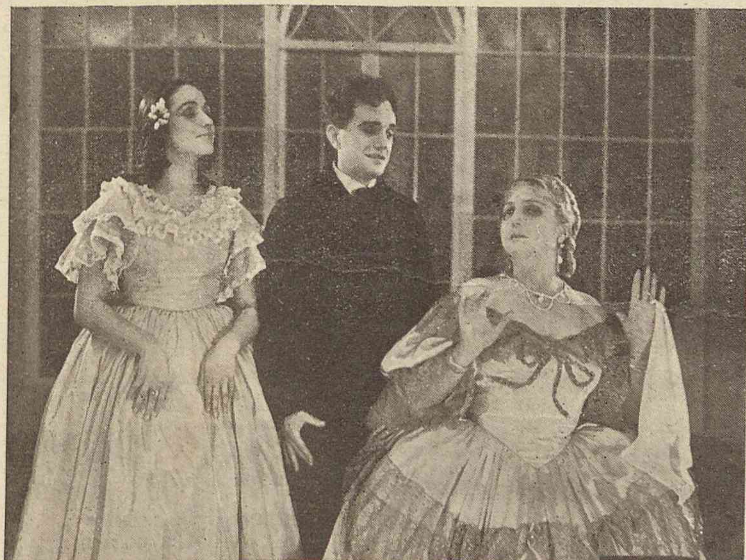
Filuterny „dramat“ ćwiartki papieru Sardou, dziś jest życiowym chlebem powszednim, wówczas, gdy kiedyś było to luksusowe ciasteczko. Stare ciasteczka nie są smaczne. Ale skoro mistrz cukierniczy wysztafiruje tort wspaniały, skoro skomplikuje go wieżą strzelistą i skoro nawet po latach, to „dzieło“ wyjęte z pod klosza ujrzymy, to możemy stwierdzić, że robota była i fachowa i kunsztowna. Tak jest z „Ćwiartką Papieru“ gdzie toczy się walka o niedoręczony, zagubiony list. (Jeden z najbardziej moderne naszych autorów — Winawer, też „listom“ ze schowka wypadłym kazał być osią intrygi, jego ostatniej komedji).



Frywolna walka - zaloty Różycki i Lindorfówna

Walka pełna starodawnej finezji, kokieterji „bon ton'u“ — nie jest to ani wielka sztuka przez duże S, ani zagadnienie, ot czasem można spojrzeć na pudrowane peruczki, aby oderwać się od utlenionych, nowoczesnych platynek. Teatr Letni wystawił komedję Sardou b. starannie. Lindorfówna jako zalotna dama-detektyw z zacięciem wzięła się do dzieła. Mając takie atuty jak uroda i wdzięk, musiała wygrać. Różycki kapitulował z radością. Wdziękiem i dobrem prowadzeniem djalogu wykazała się ponownie p. Tiché. Macherska umiejętnie i sadystycznie maltretowała nieśmiałego Pawła, którego groteskowym wykonawcą był p. Borowy. Grabowski, Martini, Karczewski, Skonieczny, Zejdowski, Kawińska, Ludecka tworzyli pracowity zespół.

L.



Martini

Borowy

Macherska

Teatr Nowy: Dowód osobisty. Sztuka w 3-ch aktach Marji Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej.

Teatr Nowy pokazał nam ostatni utwór Marji Jasnorzewskiej Pawlikowskiej, znakomitej poetki, która od pewnego czasu na dobre zadomowiła się na scenie i w każdym nieomal sezonie teatralnym darzy nas nową sztuką.

W wierszach snująca poezję tysiąca nastrojów i wątek filozoficznych zamyśleń nad istotą życia ludzkiego i przyrody — interesuje się Pawlikowska na scenie przedewszystkiem zagadnieniami życia kobiety, nie odbiegając pod tym względem od tematów poruszanych przez nasze powieściopisarki. Miłość i jej niezłomne prawa, macierzyństwo jako tragizm i jako szczęście, prawo kobiety do świadomego macierzyństwa — oto problemy, znajdujące w sztukach Pawlikowskiej oryginalną, czasem głęboko wzruszającą ilustrację.

Piękna pani Malwina, pochodząca z bogatej rodziny kupieckiej, wyszła z namowy rodziców za mąż za zubożałego i zdegenerowanego hrabiego. Hrabia wprawdzie nie jest stary, ale temperament ma rybi i żona, dowiedziawszy się od teściowej, że wszyscy potomkowie rodu Zebrzydowieckich rodzą się z pewnemi oznakami degeneracji, unika macierzyństwa. Młodej doktorowej natomiast wydaje się, ze względów snobistycznych, hrabia odpowiednim partnerem flirtu. Przypadek sprawia, że smutna, samotna Malwa poznaje męża doktorowej, człowieka bujnego i gorącego.

Miłość wybucha odrazu, ale też odrazu jest pohamowana ze strony doktora, ponieważ żona, chcąc przeszkodzić w rozwodzie, oznajmia mężowi, że jest w ciąży. I Malwa i Szymon cofają się przed tą przeszkodą, nic nie wiedząc o tem, że wydrowata doktorowa zdradzała męża z hrabią i że macierzyństwo swe chce wyzyskać jako życiową broń. Inaczej Malwa. Konwenanse i względy rodzinne nie powstrzymują jej od wydania na świat dziecka Szymona, owocu wielkiej miłości, zakończonej rozstaniem. Dziecko jest jej najwyższą radością. Skontrastowanie dwóch kobiet, tak rozmaity użytek czyniących z macierzyństwa, jest etycznym wątkiem sztuki.

Ale o prawo do tak pojętego świadomego macierzyństwa trzeba stoczyć walkę. Podejmuje ją Malwa drażniona i naglona przez dwie strażniczki tradycji, dwie groźne wiedźmy — teściową i jej matkę. W charakterystykę tych postaci włożyła autorka cały swój talent komedjowy. Dwa te śmieszne i straszne portrety z galerji rodzinnej wysuwają się na pierwszy plan w sztuce. Z nich to emanuje atmosfera domu Zebrzydowieckich, w którą chciała nas wprowadzić Pawlikowska. Jest to twierdza arystokratycznych degeneratów. Wierzy się tu tylko w rasę, choć właśnie tu czas starł z niej wszelkie blaski i wyssał wszystkie soki. Każda oznaka rodowa, choćby to była wada ustrojowa w rodzaju głuchoniemoty lub zrośniętych u dłoni palców uchodzi tu za cechę dostojną, którą obowiązek nakazuje przekazywać dalszym pokoleniom. Sprowadziwszy w ten sposób do absurdu snobizm rasowy, Pawlikowska w mnóstwie zabawnych sytuacyj i powiedzeń ośmiesza dwie zmumifikowane matrony, obnażając zarazem ich bezduszność i okrucieństwo.

Ileż świetnych aforyzmów z rodzinnego repertuaru, ileż mimowolnego cynizmu w ich rozmówkach i przestrogach. Już dawno (może od czasu komedyj Wilda) nie śmieliśmy się tak serdecznie ze starszych dam.

Ale, ma to i swą stronę niebezpieczną. Wtrącanie się mamy i babuni do życia młodego małżeństwa jest nieznośne. Nietylko dla osób zainteresowanych. W pewnym momencie dla publiczności także. Przydałby się tu miejscami ołówek reżysera.

Zadzierzgnięty węzeł komedji rozplata się zręcznie a żartobliwie. Nie udało się teściowej i babuni przekonać pięknej Malwy, że źle robiła, nie chcąc mieć dziecka ze zdegenerowanym mężem i że zgrzeszyła, wydając na świat zdrowego syna swego kochanka. Nie udało się nawet skompromitować niewiernej, bo oto w samą porę okazuje się, że w innym domu urodziło się dziecko ze znakiem szczególnym rodu Zebrzydowieckich — to jest z palcami u dłoni zrośniętemi do pierwszego stawu. Tym niewątpliwym „dowodem osobistym" udało się Szymonowi wylegitymować dziecko swej żony jako syna hrabiego. Teraz Malwa i Szymon są wolni.

Na scenie tryumfuje miłość. Zwycięża ona jak prawda wśród kłamstwa, jak prawo przyrody nie ulegające przemocy. Nie mogło się ostać małżeństwo Malwy z Błażejem, jak nie mógłby istnieć związek kwiatu z rybą. Bo Pawlikowska — poetka tak właśnie stylizuje tę parę. Bohaterka zarówno przez swe imię, jak przez mnóstwo subtelnych podkreśleń jest kwiatem. Błażej zaś żabą, rybą, jakimś fantastycznym wodnikiem... Nie ma krwi w żyłach, nie wierzy ani w miłość ani w zazdrość, bo ich odczuwać nie potrafi, wszystko na ziemi jest mu obce, pociąga go tylko woda i muzyka. Wsłuchując się w Debussiego, wie, że w „Katedrze zatopionej" za jego to duszę msza się odprawia. Błażej to nie zwykły rogacz, to nie normalny komedjowy mąż, to postać nawpół tylko śmieszna, a trochę niesamowita i pełna melancholji. Malwę i Szymona stworzyła Pawlikowska poetka, nie komedjopisarka.

Kontrastem Błażeja ma być Szymon, doktór, z pochodzenia góral. Chodzi tu nietylko o przeciwstawienie klasowe, ale i psychiczne. Szymon ma być wcieleniem męskości zdrowia i siły. Ktoś na scenie mówiąc o nim wspomina zbójników tatrzańskich. Tu jednak koncepcja zawiodła w wykonaniu. Szymon jest najsłabszą postacią sztuki. Mimo góralskiej gwary i szerokich gestów pozostał on banalnym salonowym kochankiem. Nie udało się autorce wciągnąć go w ten sam nurt poetycko baśniowy, z którego pochodzą Malwa i Błażej.

Zawinił tu dużo w roli Szymona p. Damięcki, który ani powierzchownością ani grą nie pasował do tej postaci. P. Damięcki był układny i szlachetny, ale nie ognisty i junacki. Męża — wodnika inteligentnie zagrał p. Ciecierski. Świetnie wygrała swą partję Dulęba, utrzymując ją w tonach monotonnych i minorowych, w przeciwstawieniu do Ćwiklińskiej, która jako osiemdziesięcioletnia staruszka babunia rozśmieszała złością i temperamentem.

Królowała Gorczyńska. Urodą, grą, toaletami (Co za szczęśliwy traf: w sezonie, gdy szaleje moda fioletu dostać rolę, w której obowiązują wszystkie odcienie tej barwy!). Na uwagę zasługuje coraz bogatsza i wyrazistsza mimika tej artystki. Malwa mało mówi. Jest to rola jak z filmu — streszczająca się w sile mimicznego wyrazu. P. Gorczyńska sprostała jej całkowicie. *S. K. B.*

PAWEŁ i GAWEŁ

Paweł i Gaweł w jednym stali domu,

Paweł mieszkał na górze, Gaweł na dole.....

Paweł grał na loterii, Gaweł tak samo. Paweł flegmatyk, Gaweł choleryk; pierwszy robił wszystko powoli z namysłem, drugiemu ziemia paliła się pod nogami. I ten i tamten pragnął dojść do majątku, dorobić się własnego domu.

Paweł miał skromną posadę. Żył oszczędnie, odkładał co miesiąc na t. zw. czarną godzinę. Na jeden tylko pozwalał sobie wydatek — na kupno biletu loteryjnego. Systematyczny, punktualny, nie przepuszczał Paweł ani jednej klasy, ani jednej Loterii, grał tak, jak pracował: pilnie, sumiennie, uważnie. Grał dość długo, bez wielkiego powodzenia, ale nie narzekał, nie denerwował się, czekał na swoją kolej.

Gaweł miał sklep. Szło mu jako tako. Z natury choleryk, pasjonat, mało w sklepie siedział, pozostawiając swej żonie prowadzenie przedsiębiorstwa. Gaweł grał na loterii. „Grał — jak twierdził Paweł — „z czkawką". Co pewien czas, gdy nie wygrał, lub wygrał mniej, niż pragnął, zarzekał się gry, w drugiej albo trzeciej klasie wycofywał się.

Paweł i Gaweł homeryczne toczyli spory na temat loterii i wygranej. Paweł cedził słówko za słówkiem, powolutku, jak z butelki z kroplomierzem, Gaweł pienił się i ział potokiem mocnych, dobitnych wyrażeń, niczem gejzer islandzki. Paweł przekonywał Gawła o skuteczności swojej metody wytrwania w grze, Gaweł ciskał gromy na niesprawiedliwość Fortuny, na rzekomy pech, jaki mu towarzyszy w życiu.

— Niech to licho porwie! — krzyczał zaperzony Gaweł, nie będę więcej grał!

— Pożałujesz, braciszku, pożałujesz..., cedził przez zęby Paweł.

I na tem się skończyło. Flegmatyk grał dalej, Choleryk obraził się na loterię, nie wykupił losu, postąpił jak dziecko: „na złość mamie, odmrożę sobie uszy".

Przeszło kilka tygodni. Nastąpiło ciągnienie. Nazajutrz wieczorem słyszy Gaweł, że na górze Paweł dzikie wyczynia harce: tańczy, śpiewa, sprzętami ciska. Pędzi Gaweł na piętro, puka do drzwi:

— Co do licha: Czyś sąsiad zwarjował? Po nocy hałasy wyczyniasz? Mnie spać nie dajesz.

A na to Paweł:

— A co nie mówiłem, moja racja! Na los mój padło sto tysięcy!

Sponsowiał aż Gaweł ze złości:

— Wygrana wygraną, a ja mam dość tego hałasu! Aż mnie głowa puchnie!

— Wolnoć Tomku w swoim domku! Trzeba było grać sąsiedzie, bo wygrywa tylko ten, kto gra. Możesz się zresztą odbić, bo do ciągnienia pierwszej klasy już niedaleko, zamiast więc irytować się, idź lepiej zaraz rano i kup los loteryjny.

DWUZNACZNIKI

Serce nie sługa... — żalił się ktoś, czyszcząc sobie sam buty.

*

Czas to pieniądz — pocieszał się bezrobotny.

*

A to bycze! — rzekł gość, jedząc wołowinę.

*

Głowa mi pęka — zauważył pomnik Jana Sobieskiego.

*

Trzeba go będzie obić! — powiedział tapeciarz o pokoju.

*

Alem cię nabrał! — rzekł ktoś, zaczerpnąwszy wody.

*

Nie sądziłem... — rozpoczął adwokat mowę obrończą.

*

Daj pan pokój! — prosił bezrobotny, eksmitującego go kamienicznika.

*

Ani mi się waż! — rzekł mąż do żony, która wchodziła już na wagę.

*

A to choroba! — wykrzyknął ktoś, zachorowawszy na grypę.

*

Trzeba z żywymi naprzód iść — pomyślał nieboszczyk, gdy go wieźli na cmentarz.

DZIECI.

Nauczycielka stara się wszelkim sposobem wytłumaczyć dzieciom znaczenie słowa „cud".

Idzie jej, jak z kamienia. Usiłuje więc naprowadzić ucznia na to słowo:

— Powiedz mi, co to jest, gdy wypadasz przez okno i nic ci się nie staje?

— To jest szczęście.

— No dobrze, a gdy wypadasz drugi raz i nic ci się nie staje.

— To jest znowu szczęście.

— A jak wypadasz trzeci raz i znowu nic? — krzyczy poirytowana już nauczycielka.

— A, to co innego. To jest trening — proszę pani... — pada rzeczowa odpowiedź!

*

Tatuś zaprowadził synka do lasu.

— Spójrz, tatusiu — woła malec, widząc węża, — ogon bez psa!

Jerzy Sławicz.

CZY PANI WIE, ŻE...

...owal twarzy zmieniony — to już stracona uroda. Obwisłe policzki — to koniec młodości. Są drogie zagraniczne płyny ściągające zwane „astringeant“, ale można sobie taki płyn spreparować samej. Wziąć czystego spirytusu 250 gram. Wody różanej 200 gram. Mleczka z migdałów słodkich 30 gram. Mleczka z migdałów gorzkich 20 gram. Wody z kwiatu pomarańczowego 25 gram. Tynktury benzoesowej 4 gramy, tynktury hamamelisowej 4 gramy. Zmieszać, potrząsnąć w butelce, zwilżać twarz tym płynem za pomocą waty.

■

...pokrzywa świetnie konserwuje surowe mięso. Jeżeli trzeba przewieźć, albo przechować mięso, posmarować oliwą arkusz papieru białkowego, owinąć nim mięso, wyłożyć dno koszyka, albo skrzynki świeżą pokrzywą, na niej położyć zawinięte mięso, na wierzchu znowu pokrzywę. W największem nawet cieple mięso zabezpieczone w ten sposób nie psuje się w ciągu doby.

■

...najostrzejszy nawet ból zęba natychmiast ustąpi, jeżeli w spróchniały ząb założymy maleńki kłaczek waty hygroskopijnej, umoczony w olejku goździkowym. Naturalnie jest to tylko ratunek tymczasowy — i trzeba jednak z tym zębem pójść na leczenie do dentysty.

■

...kto ma skłonności do odmrażania rąk i nóg, powinien już teraz, przy nadejściu pierwszych chłodów, smarować je stale olejkiem migdałowym, mocno wcierając go w skórę do sucha.

...kto nie lubi zapachu ryby morskiej, może go łatwo zneutralizować: po przyniesieniu ryby włożyć ją natychmiast do wody z octem. Ryby morskie, jako produkt niezmiernie pożywny, zdrowy i tani, powinny być u nas o wiele bardziej rozpowszechnione.

■

...plamy z jodyny na tkaninach schodzą przy zanurzeniu materjału w ciepłem mleku. Potem trzeba cały przedmiot uprać w wodzie. Plamy z jodyny na materjałach bawełnianych i lnianych białych usuwa amoniak, pół na pół rozcieńczony wodą. Jeżeli materjał jest grubszy i kolorowy — użyć można amoniaku, ale słabszego: na litr wody wziąć trzy ćwierci szklanki amoniaku. Potem sprane miejsce wypłukać dokładnie zimną wodą z octem.

■

...migreny, które tak często uprzykrzają nam życie, można zwalczać i wreszcie wyleczyć piciem przez dłuższy czas naparu pierwiosnka lekarskiego. Na szklankę wrzącej wody wrzucić łyżeczkę suszonego ziela, zagotować, odstawić pod przykrywką na pięć minut. Przecedzić — i pić tej herbaty dwie filiżanki dziennie.

■

...jest kilka starych dobrych środków na oparzenie. Więc: miejsce oparzone posypać natychmiast sodą oczyczoną. Posmarować żółtkiem jaja. Przyłożyć gałganek zmoczony w spirytusie. Wszystkie te środki pomagają znakomicie jeżeli je zastosujemy natychmiast po wypadku. Jeżeli jednak dopuścimy do utworzenia się bąbli — trzeba leczyć oparzenie dłużej. Najlepsza do tego jest również soda oczyszczona, ale w roztworze wody, w proporcji 1 herbacianej łyżeczki sody na szklankę wody. W tym płynie maczać lniane płatki i często zmieniając, przykładać na poparzone miejsca.

■

...kwiaty w pokoju będą dłużej świeże, jeżeli do wazonu z wodą wlejemy herbacianą łyżeczkę amoniaku. Pastylka aspiryny, rozpuszczona w wazonie też dobrze działa. Zaś kwiaty zupełnie już zwiędłe można jeszcze przywrócić do życia przez włożenie ich do wrzącej wody. Zanurzać trzeba mniej więcej trzecią część łodygi, zostawić kwiaty we wrzątku aż odżyją. Podczas trzymania łodyg we wrzątku należy kwiaty osłonić papierem, aby do nich nie dochodziło powietrze. Poczem „ugotowane“ części łodyg odciąć ostrym nożem i wkładać kwiaty natychmiast do bardzo zimnej wody. Postoją napewno jeszcze dni kilka. Operację tę zresztą można parokrotnie powtarzać.

■

...używanie gąbek do mycia zasadniczo nie jest przez współczesnych higjenistów pochwalane. Gąbka bowiem gromadzi w swych porach mnóstwo kurzu i bakterji. Znacznie więc lepiej używać rękawic włochatych, które codzień można uprać. Jeżeli jednak pani przywykła do gąbek, to trzeba je utrzymywać w skrupulatnej czystości. Myć trzeba gąbki dwoma sposobami: 1) gąbkę nasączyć sokiem z cytryny, a pozostałą cytrynę pokrajać w kawałki i położyć obok gąbki. Zalać to wszystko na salaterce wrzącą wodą i zostawić na całą dobę. Po upływie tego czasu doskonale wypłukać gąbkę kilkakrotnie ciepłą wodą. Będzie miękka i czysta, jak nowa. Ocet zastąpić może cytrynę, ale gąbka będzie trochę mniej miękka.

Sposób 2). Włożyć gąbkę do gęstego roztworu sody czyszczonej, wyciskać ją wielokrotnie, potem to samo wykonać w gorącem mleku. Na końcu wypłukać gąbkę w gorącej czystej wodzie i wysuszyć.

Dama Pikowa.



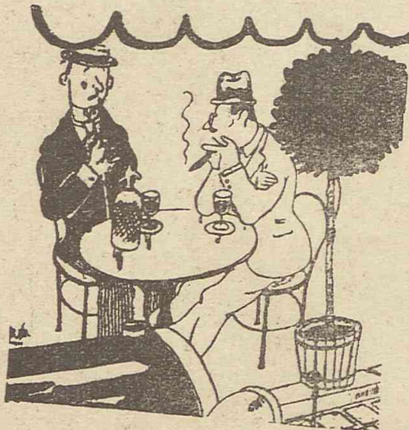
Alina Massalska, polska tancerka występuje w dancingu Paradis.

Nowy reprezentacyjny lokal rozrywkowy stolicy

Przed kilkoma dniami otworzył swe podwoje nowy lokal rozrywkowy pod nazwą „F F" przy ul. Króla Alberta 6 (dawniej Niecała). Dyrekcja nowego Café Dancingu wielkim nakładem kosztów stworzyła lokal, tak pod względem architektonicznym jak i efektów świetlnych, nie widziany dotychczas w Polsce. Wytworny Café Dancing „F F" jest od kilku dni przedmiotem szczegółowego zainteresowania, sprawia to w dużej mierze atrakcyjny program artystyczny naprawdę wysokiej klasy, porównać się dający tylko z pierwszorzędnemi zagranicznemi Varietes. Między innemi mamy możność podziwiać rewelacyjny duet ameryk. taneczno-komiczny, który trzyma widza w napięciu przez 30 minut i wywołuje huragany braw i śmiechu. O zespołach muzycznych powiemy tylko tyle: Front-Ferszko wieczorem, zaś na Five, który odbywa się codziennie od 5.30 do 8.30 z pełnym programem wieczorowym, orkiestra Jerzego Bełzackiego oraz w coctail-barze ulubieniec publiczności znakomity skrzypek Paweł Dymarz.

HUMOR WE WŁOSZECH

ZAGADNIENIE



— Z tego, co mówią kobiety, można brać na serjo tylko połowę.

— Oczywiście. Ale którą połowę?

PRZYJACIÓŁKI



— Wiesz? Dałam do kurjera ogłoszenie, że poszukuję interesującego przyjaciela...

— Nie wstyd ci? A czy choć dostałaś jaką ofertę?

— Owszem — od twego męża...

SŁODYCZ ZEMSTY



Słodki sen pewnej papugi.

U WYDAWCY



— I co pana w mojej powieści najbardziej zafrapowało?

— Ortografja...

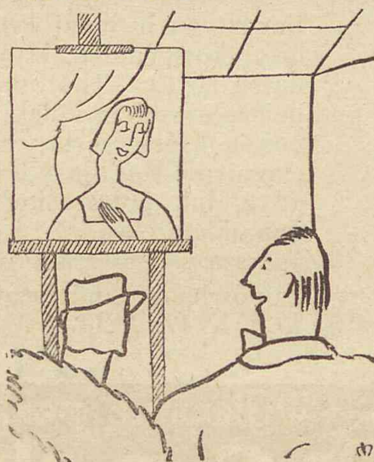
NIEZRĘCZNY



— Przysięgam ci, że przed tobą nie znałem wcale kobiet!

— Spostrzegłam to już po twoich niezdarnych pocałunkach i pieszczotach, niestety...

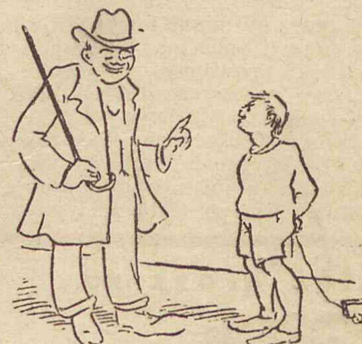
NOWOCZESNY ARTYSTA



Dama: „Ależ pan mi namalował o wiele za ciemne włosy!"

Malarz: „Czy mam zmienić kolor na portrecie, czy może woli pani ufarbować sobie włosy?"

NASZE DZIATKI



— Jakim cudem, chłopczyno, mamusia ci dała taki maleńki nosek?

— Żebym go nie mógł wtykać w nieswoje sprawy, proszę pana!

WALKA
O „BŁĘKITNĄ WSTEGĘ OCEANU"

Nikt nie wie, skąd pochodzi nazwa „Błękitna Wstęga Atlantyku Północnego", chociaż już prawie od stu lat wieńczy ona najszybsze okręty tej ważnej drogi oceanicznej.

Panuje niejaka niepewność w umysłach dziennikarzy i nawet niektórych marynarzy co do ścisłego rekordu, który należy pobić, aby zdobyć Błękitną Wstęgę. Istotnie, niektórzy sądzą, że możność zdobycia zaszczytu, to odznaczenie za rejs z zachodu na wschód, choćby nawet ktoś inny prędzej przepłynął tę drogę w kierunku odwrotnym. Poniżej dajemy zestawienie kolejnych zdobywców Błękitnej Wstęgi nadanej za przepłynięcie Atlantyku z największą szybkością przeciętną bez względu na obraną drogę i kierunek.

96 lat temu, w lipcu 1840 r. *Britannia* 1554 tonnowy parowiec Cunard Line o napędzie kołowym, używający również żagli, przebył przestrzeń z Liverpoolu do Bostonu w 14 dni i 8 godzin z przeciętną szybkością 8,19 węzłów. Jest to pierwszy, oficjalnie zanotowany rekord.

W sierpniu tegoż roku *Acadia*, dokładny sobowtór *Britannii* przepłynęła Atlantyk z Liverpoolu do Halifaxu w 11 dni 4 godziny, robiąc 9,18 węzłów. Lecz w r. 1841 *Britannia* pobiła ów rekord, osiągając w ciągu 10 dni, przeciętną szybkość 10,12 mil morskich na godzinę.

W 1848 r. *Cunard Line* zdecydowała, że jej portem przeznaczenia będzie New York, oddalony wówczas o 11 dni i 3 godziny przy przeciętnej 11,41 węzła. Był to kołowiec o pojemności 1820 ton. Jest rzeczą ciekawą porównanie tego rekordu z wyczynem *Queen Mary*, wypierającej 80.773 tonny i przebywającej dystans w 3 dni 23 godziny i 57 minut, osiągając przytem szybkość handlową 30.63 węzła.

W ciągu stulecia postępy kształtowały się stopniowo. Zaledwie cztery razy prędkość średnia powiększyła się więcej niż o jedną milę morską na godzinę: w 1851, gdy *Pacific* odebrał rekord śrubowcowi *Europa* z 13,42 węzła (przeciw 11,41); później w 1894 r., gdy *Lucania* pobiła swój własny rekord z poprzedniego roku szybkością 21,95 węzła (20.75) i w końcu w 1908 r. skoro *Mauritannia* osiągnęła podobny wyczyn, osiągając 24.86 węzła (23,69 w 1907 roku).

Mauritannia posiadała Błękitną Wstęgę w ciągu 22 lat. Jej zwycięzca, *Bremen*, odebrał jej zaszczytne wyróżnienie w 1929 r. osiągając średnią szybkość godzinną od 26,75 do 27,91 węzła.

Pacific (w 1851 r.), *Acadia* i *Scotia* były także jedynemi statkami, które w ciągu pierwszej podróży skróciły czas drogi o więcej, niż jeden dzień. *Acadia* pobiła pierwszy rekord *Britannii* o 3 dni i 4 godziny, co było największą różnicą czasową, jaką kiedykolwiek zanotowano między rekordowemi rejsami przez Północny Atlantyk.

Scotia, ostatni statek kołowy, skróciła w 1863 czas rekordu o 1 dzień 1 godzinę i 45 minut. Od tej chwili rekord był poprawiany o godziny, nawet minuty.

Jeżeli chodzi o wyporność, to pojemność wzrosła od 1.554 tonn *Britanni* (1840 r.) do 12.950 tonn śrubowca *Kaiser Wilhelm der Grosse* w 1897 r. Cztery lata później linja *Hamburg — Amerika* spuściła na wodę *Deutschland* o 4.000 tonn większy od *Kaisera Wilhelma*. W 1907 r. *Mauritannia* podwoiła prawie tę liczbę. Następnie nadeszły *Bremen* z 51.656 tonnami i *La Normandie* z 82.779 tonnami.

Dwanaście okrętów pobiło rekord więcej, niż raz. Były to: *Scotia* (2 razy), *Etruria* (2 razy), *Lucania* (2 razy), *Mauritannia* (5 razy), *City of Berlin* (2 razy), *Ville de Paris* (2 razy), *Kaiser Wilhelm* (2 razy), *Bremen* (2 razy), *Alasca* (2 razy), *Oregon* (2 razy) i *La Normandie* (2 razy).

Aż do roku 1933 walka rozgrywała się między okrętami trzech państw: Wielkiej Brytanji, Stanów Zjednoczonych i Niemiec. W ciągu tych 93 lat Wielka Brytanja zdobyła Błękitną Wstęgę 33 razy, Ameryka trzykrotnie i Niemcy sześciokrotnie. W 1933 r. pojawili się konkurenci nowi: Italja, a w 1935 r. Francja.

Jest bardzo prawdopodobne, że Błękitna Wstęga będzie obecnie przechodziła z rąk do rąk. Walka rozgrywa się między *La Normandie* a *Queen Mary*. Zależnie od okoliczności rekord należeć będzie do jednego z tych olbrzymów, których szybkość jest mniej więcej jednakowa.

Sytuacja zmieni się pewnie z chwilą, gdy angielski superolbrzym „Nr. 552", będący obecnie w trakcie budowy, wyjdzie w morze. Nowy transatlantyk skorzysta ze wszystkich udoskonaleń i doświadczeń dwóch obecnych konkurentów i będzie najszybszym okrętem świata.





RECENZJE FILMOWE

„Noc w Operze" **Światowid**

„Rewelacyjni bracia Marx... pierwszy raz w Polsce". Zdanie to powtarzało się do znudzenia we wszystkich ogłoszeniach nadchodzącej premjery „Nocy w Operze". Rzeczywiście panowie ci są „rewelacyjnymi" błaznami i tylko przy tem nastawieniu można wogóle o nich mówić.

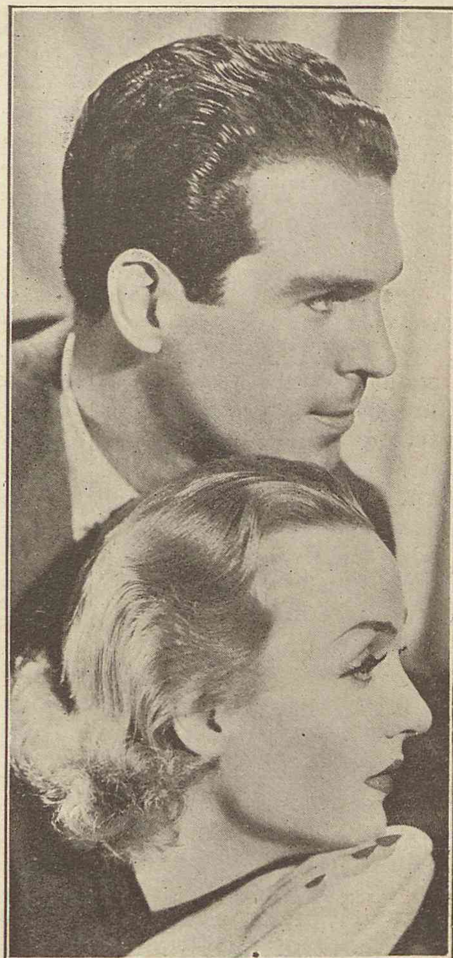
Właściwie należałoby sobie postawić pytanie dla kogo produkuje się rzekomo komiczne filmy. Jeżeli dla ludzi z natury bardzo wesołych i skorych do śmiechu nawet na kiwnięcie palcem, to przedsięwzięcie to jest zgoła zbyteczne: urodzeni wesołkowie i tak będą się śmiać, po co im jeszcze dostarczać błazeńskich filmów. Jeżeli jednak obraz jest obliczony na rozweselenie ludzi poważniejszych, smutnych i chociaż troszeczkę krytycznie usposobionych, to tem bardziej, chybiony wyda się ów pomysł. Film w typie „Nocy w Operze" takich widzów przedewszystkiem zirytuje.

Jeżeli bezpretensjonalny humor amerykański ma się wyrażać ciągłem waleniem kogoś po głowie względnie kopaniem w inne części ciała i jeżeli na kilkaset osób, obecnych na filmie, kilkanaście zarykuje się (bo trudno użyć innego słowa na określenie dzikich wybuchów śmiechu części publiczności) to jeszcze nie widzę przyczyny sprowadzania nieokiełzanych porywów amerykańskiego chamstwa do Polski.

Clown cyrkowy, którego cały dowcip sprowadza się do walenia partnera młotem, czy innym ciężkim przedmiotem i do nieraz akrobatycznego zlatywania ze schodów nie zadowoli wybredniejszej publiczności.

W „Nocy w Operze" zauważyliśmy parę kapitalnych scen, kilka świetnych dowcipów i całe morze ordynarnego pseudohumoru.

Sam Wood (reżyser) starał się zupełnie niepotrzebnie nagromadzić możliwie najwięcej „komicz-



Carola Lombard i Fred. Mac Murray ukażą się w filmie „Concertina 22".
Fot. Paramount.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

nych" sytuacyj. Nadmiarem wrażeń bynajmniej nie artystycznych zabił zupełnie kilka lepszych koncepcyj. Taka np. świetna scena gry na fortepianie jednego z trzech komików stanowi prawdziwy klejnot czystego kulturalnego humoru, kiedy zaraz następna scena wali widza jak obuchem. Po dwugodzinnej „ucztcie duchowej" nieszczęsna ofiara X-ej muzy czuje się fizycznie sponiewierana ordynarnym brakiem jakiegokolwiek poczucia artystycznego.

O innych aktorach, obdarzonych miłemi głosami, trudno pisać, gdyż z widowiska wynosi się jedynie niesmak.

Prawdziwą ozdobą programu jest natomiast śliczny dodatek kolorowy Paramountu, kreskówka słynnego Fleishera p. t.: „Bohaterskie kurczątko". Dowcipna i miła treść, doskonały technicznie rysunek i montaż, cudownie sharmonizowane barwy stanowią prawdziwe wytchnienie. Rozbrajająca prostota przy pewnym sentymenciku i znakomitem podpatrzeniu daje całkowite zadowolenie estetyczne.

Urozmaicony tygodnik Pata i zeszłoroczny reportaż Funduszu Pracy z robót regulacyjnych i budowy zapory wodnej w Porąbce uzupełniają program. *J.*



Gladys Swarthout ukaże się w filmie „Szampański Walc"
Fot. Paramount.

„Panna Lili" **Stylowy**

Wesoły film wiedeński o pomysłowej biednej panience i bogatym jedynaku ma wielkie szanse powodzenia. Franciszka Gaal ukazała się w roli może nie nowej, ale odpowiednio dopasowanej do jej możliwości, trafnie dobranej do typu tej sympatycznej aktorki. Hans Jaray jako bogaty, rozpróżniaczony jedynak również świetnie czuł się w pierwszorzędnym hotelu w Monte Carlo, w salach kasyna i słońcu południa. Szöke Szakall, przeniesiony w nieznane mu środowisko, rzucony w wir wielkoświatowego życia, narażony na niespodzianki i niebezpieczeństwa ze strony hotelowego złodziejaszka był rozbrajająco niezaradny, śmiesznie naiwny i — nadewszystko — przyjemny.

Scenarjusz dość żywy obfituje w zabawne sytuacje i nieoczekiwane nieporozumienia, podkład muzyczny odznacza się melodyjnością i dużą łatwością wpadających w ucho motywów. Zdjęcia naogół poprawne kilkakrotnie odbiegają od utartego szablonu i zaciekawiają oryginalnością, że wymienię świetne uchwycenie przelatującego nocą oświetlonego pociągu.

Panna Lili, obdarzona wyjątkowo licznem i hałaśliwem rodzeństwem postanawia znaleźć posadę. Po paru nieudanych próbach szczęśliwy i oryginalny po-

myśl umożliwia jej otrzymanie pracy w sklepie jubilerskim, gdzie wprowadza w życie nowe metody handlu klejnotami, wyzyskując ludzką namiętność do „niebywałych okazyj“. Nowa rola kieruje ją w charakterze bogatej damy na Riwierę, gdzie po licznych perypetjach udaje jej się dobrze sprzedać „okazyjnie“ wspaniałą biżuterję.

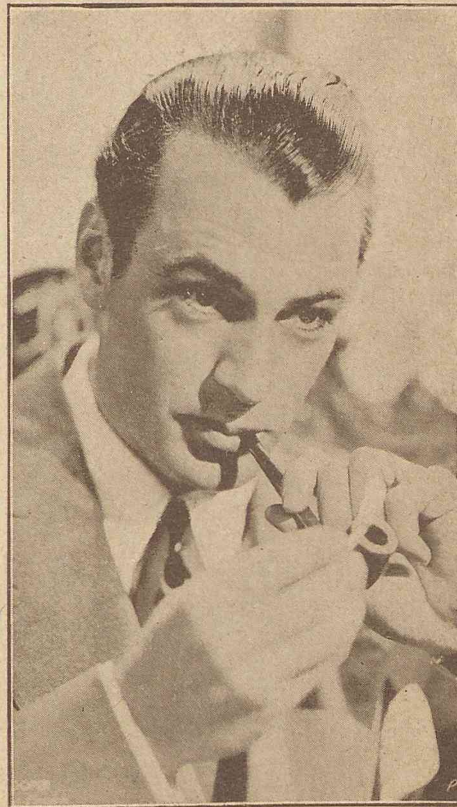
Te jej dziwne perypetje dają przedziwną okazję fenomenalnemu Szöke Szakallowi do wykazania swych walorów pierwszorzędnego komika.

Niezrównane sytuacje i nieporozumienia wywołują ogólną wesołość. Złośliwy pech utrudnia rolę, niesamowite szczęście przy grze naraża na dziwne pokusy i przygody.

Hans Jaray, młody choć znany amant wiedeński, miał okazję do oczarowania publiczności niezaprzeczonym wdziękiem i swobodą.

Możnaby wprawdzie zarzucić Franciszce Gaal pewną sztuczność w początkowej części filmu. Jej silenie się na naiwność i dziewczęcość miało jakiś zgrzyt fałszu. Ta „pierwsza naiwna“ była trochę przeszarżowana. Śpiew miłej wiedenki też nie stał na odpowiednim poziomie, niepotrzebne wdzięczenie się i krygowanie było trochę drażniące. W miarę posuwania się filmu, w miarę rozwoju akcji, komplikowania sytuacyj, aktorzy „rozgrzali się“, tempo stało się żywsze, całość bardziej zwarta, a gdy pierwsze skrzypce ujął Szöke Szakall, zapomnieliśmy o poprzednich brakach. Przyczyniły się zresztą do tego w niemałym stopniu miłe, lekkie melodje, kulturalny dowcip, nieoczekiwane sytuacje i nieunikniony happy end.

J.



Gary Cooper w filmie „Żółty Skarb“.
Fot. Paramount.



Steffi Duna w filmie kolorowym RKO. Radio p. t. „Tańczący Pirat“.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT“ Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona“, Warszawa